ROZMAITOŚCI.

Dnia 11 października, Nr. 41. roku 1845.

Róża z St. Etienne.

Oświata dziewiętnastego wieku potępia wiarę w strachy jako barbarzyński zabobon średniowiekowych czasów, a kto na przekor dzisiejszemu rozsądkowi, uraja sobie duchy, lub błąka się wyobraźnią po owéj tajemniczéj dziedzinie, która już oddawna swoich bezcielesnych mieszkańców pozbyła, ten tylko na pośmiewisko lub litość zasługuje.

Jesteśmy najmocniéj o słuszności tego mniemania przekonani, lecz wierzymy oraz, iż bywają chwile, gdziebyśmy radzi nad rzeczywistość się wznieśli, i nie bronimy duchowi naszemu ulatać w zagrobową krainę marzeń, aby przynajmniéj zlekka dotknąć się owéj przedwiecznéj rzeszy mar, snów i widziadeł, które niegdyś tyle władzy nad ludźmy miały. W takiéjto uroczéj chwili należy odczytać następującą powiastkę, ułożoną z ułamków dziennika hrabiego Izalguira, i będącą w niemałéj części rzeczywistą prawdą. Co zaś do drugiéj, fantastycznéj jéj części, ta zdaje się zupełnie na łaskawy sąd czytelnika.

Hrabia Izalguir szedł we wszystkiém za przykładem modnego świata i udał się pewnego roku na czas letni do kąpiel w Rennes. Nie miał on nic innego na celu, jak tylko przyjemną rozrywkę; lecz pora nie sprzyjała zamiar, całe prawie lato padał deszcz nieustanny, a wszystkie domy gościnne stały próżne. Tém miléj było hrabiemu, iż w tym samym hotelu, w którym zamieszkał, znalazł był osoby wynagradzające mu sowicie brak liczniejszego zgromadzenia. Jakoż przywiązał się niebawem tak mocno do swego mieszkania, że ani zatęsknił za światem wyszukanego smaku, chociażby tam stokroć rozmaitsze zabawy oczekiwać go miały.

I zkądże to zamiłowanie samotności, w tak młodym i wesołym mężczyźnie?

O ścianę tylko od hrabiego Izalguira mieszkała baronowa de Niort ze swoją siostrzenicą, panną de St. Etienne, a uprzejma grzeczność tych dam zastąpiła hrabiemu wszelkie przyjemne stosunki ze światem.

Pani de Niort należała do najświatlejszych kobiét, jakie w najwybrańszém towarzystwie napotkać można, a jéj siostrzenica była tak piękną i miłą, iż hrabia żadnéj młodéj dziewczyny nie znał, któraby z nią w porównanie iść mogła.

Już blisko cztéry tygodnie upłynęły, odkąd w tak ścisłéj żyli z sobą przyjaźni. Izalguir uczuwał coraz tkliwiéj, iż towarzystwo pięknéj i lubéj Róży, niezbędną potrzebą jego serca się stało, a myśl o blizkiém rozłączeniu, nabawiała go niewymownym smutkiem.

Ale musiałże on koniecznie z nią się rozstać? — Nie byłyż jego stopień i majątek po temu, aby się otwarcie i śmiało z prośbą o jéj rękę, u ojca jéj, barona de St. Etienne w Tuluzie mógł był zgłosić? A z drugiéj strony, przy swojéj przyjemnéj powierzchowności, nie miałże się spodziéwać, iż się pannie podoba?

W tak chwiejnych i wątpliwych myślach, zawołał służącego i kazał sobie konia osiodłać. Dosiadłszy pięknego angielskiego bieguna, spojrzał ku oknom Róży,

i otrzymawszy słodki uśmiéch w odpowiedź, pognał w pole na przegon z wiatrem. Tam pod jasném, bożem niebem, mniemał znaleźć ulgę gwałtownym wzburzeniom uczuć swoich, i tak przegonił godzin kilka po pięknéj, zielonéj okolicy.— Ach, tak jest, ona mu sprzyja; tysiąc drobnych dowodów jéj życzliwości, przekonywały go o tém; i mogłoż być inaczéj, gdy ją tak mocno kochał! — Dlatego dziś jeszcze przedsięwziął sobie stanąć przed nią, oświadczyć jéj swoje uczucia, i prosić ją o wzajemną odpowiedź, a dopiéro wtedy mógł być szczęśliwym, dopiéro wtedy mógł się spodziewać uśmierzenia wewnętrznego niepokoju, gdy jéj zezwalające słówko od trawiącéj męczarni niepewnego oczekiwania go wybawi.

Pogrążony w tych wątpliwych, ale oraz słodkich zamysłach, opuściwszy wodze koniowi, jechał zwolna ku stronie, gdzie mu cmentarz miejscowy mijać wypadło. Już sie zmiérzchać zaczęło, lecz w duszy jego jaśniał tak świetnym blaskiem obraz kochanki, iż w cichém, wewnętrzném uniesieniu mimowolnie: »O Różo, Różo!« zawołał, i z niewysłowioną tęsknotą wyciągnął ku niéj ramiona. Wraz z ramionami podniósł i oczy w górę, aż tu — o nieba! — co za niepojęte zdarzenie! — o kilka kroków przed nim, jakby się z grobu wznosząc, pojawiła się postać Róży, postać jego ubóstwionéj kochanki. Ledwie ją ujrzał, już w oka mgnieniu zeskoczył z konia, zarzucił cugle o pal sztakietowy i już był na cmentarzu. — Lecz gdzież się postać podziała? — Zniknęła! Pełen zdziwienia zatrzymał się Izalguir jeszcze minut kilka na miejscu, potém, nie wiedząc co o tém pomyśléć, obszedł wokoło kościoł, i znowu stanął na grobie, gdzie mu się to widziadło pojawiło. Poczém, nie mogąc sobie téj niepojętéj zagadki wyjaśnić, wzruszywszy ramionami, wrócił do swego konia.

Nigdy mu jeszcze nic podobnego w życiu się nie wydarzyło, chociaż już w rozmaitych znajdował się przygodach. Prawda, że dotąd nigdy jeszcze nie kochał, a przypominając, jak sobie uroczo i namiętnie obraz swojéj kochanki na chwilę przed tém zjawiskiem, w duszy wyobrażał, iż prawie żywa przed jego rozognionémi zmysłami stała, iż ją prawie na jawie przed sobą widział, — dlaczegoż, pomyślił sobie, nie miałby w takiéj chwili, obraz jego fantazyi widoméj przybrać postaci, dlaczegoż nie mogłaby rozogniona jego wyobraźność, rozbudzona namiętną miłością rzeczywiście przed nim postaci kochanki wyczarować? — Nie inaczéj téż to zapewne było — i uspokojony témi myślami, spiął konia ostrogami, i wrócił śpiesznie do domu.

W hotelu były już wszystkie światła pozapalane, a panna de St. Etienne stała — jak to hrabia dobrze mógł widziéć — u okna w swoim pokoju i patrzyła na niego, gdy zsiadał z konia. Przekonany więc, iż postać, która mu się na cmentarzu okazała, była tylko przywidzeniem, zmienił cokolwiek toaletę, i pośpieszył czém prędzéj do téj, która jego serce owładła.

Róża była w istocie bardzo piękna, chociaż zawsze nieco zbyt blada. Dziś jednak wydała mu się jeszcze bledszą niż zwykle, i dopiéro w ciągu rozmowy okrasiła się żywszym rumieńcem. Lecz wtedy wydała mu się tak zachwycającą, iż się dłużéj powściągnąć nie mógł, i urwawszy krótko rozpoczęty przedmiot rozmowy, nagle do wyznania swojéj miłości przeszedł. Ujął ją namiętnie za rękę: Róża zadrzała. Chciał ją przycisnąć do serca; lecz ona spłonąwszy ogniem, odwróciła posępnie głowę, złożyła jego rękę na swojém gwałtownie bijącém sercu, i rzekła z cicha: »Nie — nie, mój Izalguirze, to być nie może!«

»Jako? To być nie może!« zawołał z uniesieniem młodzieniec. »To być nie może?— Różo! Jakto! Sama dozwalasz mi uczuć, jak serce twoje dla mnie bije; nie jesteś w stanie przytłumić wzruszenia, które mię uszczęśliwia — a jednak mówisz, że to być nie może?!«

Ta chwila przekonała Izalguira, iż jest kochanym, a chociaż tak niespodzianą spotkał przeszkodę, nie był on jednakże tak lękliwym, aby się lada trudnością dał odstraszyć. Owszem, będąc z natury na wszystko śmiałym i odważnym, był pra-

wie rad z sposobności, która mu tych darów natury jawnie okazać dozwalała, i gdyby tylko mógł był jeszcze więcéj kochać Rozaliję, niż ją rzeczywiście już kochał, nie ma żadnéj wątpliwości, iż doznana obecnie przeszkoda, byłaby jeszcze bardziéj zapał jego miłości roznieciła.

»Różo!« zawołał powtórnie. »Ach, moja Różo! Mogąż cię tak nazywać?«

»Nie Izalguirze — nie możesz! Ubolewaj nade mną, mój przyjacielu, mój jedyny, kochany przyjacielu! Tak, ubolewaj nade mną — lecz niech téż to twojém jedyném dla mnie będzie uczuciem.« — To rzekłszy, ścisnęła go czule za rękę, i żegnając spojrzeniem czystéj, anielskiéj miłości, wybiegła szybko z pokoju.

Gdy ją w godzinę u ciotki ujrzał, miala mocno zapłakane oczy.

Izalguir nie mógł bawić długo z damami, gdyż ciężka boleść tłoczyła pierś jego; musiał orzéźwić się świéżém powietrzem.

Po chwilowéj przechadzce, zawołał swojego kamerdynera, kazał mu jeszcze dzisiejszego wieczora świetny podarunek pokojowéj panny de St. Etienne doręczyć, i dowiedzieć się, czy ojciec Róży nie przyrzekł jéj komu, lub jaki powód być może, iż ona mimo swojéj widocznéj życzliwości, ręki mu oddać się wzbrania.

Kupiono piękną bławatną materyję na suknia, a zwinny powiernik hrabiego, który już oddawna z garderobianą panny Róży w ścisłém zostawał zachowaniu, przyobiecał niezwłoczną przynieść odpowiedź. Jakoż dotrzymał słowa, lecz wrócił zmieszany i blady.

»Cóż ci się stało?« spytał Izalguir, zaniepokojony tym widokiem. »Musiało ci się co wydarzyć!«

»Ach, nie — nic — panie hrabio,« — odrzekł kamerdyner, drzący na całém ciele — »lecz — lecz — przez Boga, wybij sobie pan z głowy tę pannę Różę.«

»Cóż to ma znaczyć — mów mi zaraz.«

»Ach, jakże to powiém — ona jest panie — *dwojaka*.«

»Dwojaka?« powtórzył hrabia. »Jakto? Nie rozumiém cię.«

»To znaczy panie, ona jest ta sama i nie ta sama;« — odpowiedział Vincent — »są dwie panny Róże — to jest: jedna w dwóch, a dwie w jednéj; a mówiąc z jedną, nie wie człowiek z którą mówi, gdyż co chwila jedna znika, a druga ta sama natomiast się pojawia. Panna Róża kocha pana hrabiego, lecz to jest właśnie nieszczęście.— Ach, panie, odjéżdżajmy póki czas, gdyż wyobraź pan sobie, coby z tego..... Boże! Skóra drzy na mnie!«

Izalguir nie miał żadnych przesądów, lecz przypomniał sobie zjawisko na cmentarzu i zadrżał mimowolnie. Nie dając jednak poznać po sobie, kazał odejść służącemu, a sam po niejakim namyśle udał się dowiedzieć, czy baronowa jest w domu. Była ona u siebie, i sama jedna. Poszedł więc natychmiast do niéj, wyznał jéj swoję miłość do Róży, oraz nie taił niepojętego wypadku, który go dziwił i niepokoił.

Baronowa była daleka od ukrywania, i potwierdziła doniesienie kamerdynera następnémi szczegółami: Róża zapewnia sama, iż się jéj postać podwaja, że się nieraz sama sobie, jak druga ona pojawia; niejaki *abbé* Montigny był w dobrach ojca Róży w Languedoku świadkiem podobnegoż zjawiska; mianowicie zaczęło to widziadło od czternastego roku jéj życia się okazywać.

»Zresztą,« — dodała pani de Niort — »przytaczam panu to jedynie, co mi z obcych podań wiadomo; sama bowiem nigdy nic nie widziałam. Lecz bądź to wszystko chorowitém tylko mojéj siostrzenicy jest urojeniem, co bardzo łatwo być może, bądź — coby daleko gorzéj było — tylko na jakiémś osobliwszém, i nie wiedzieć do jakiego celu dążącém oszukaństwie polega, oczekujmy spokojnie, aż nam przyszłość tę zagadkę rozwiąże. Na każdy wypadek uważam przywiązanie twoje hrabio do Róży za szczególne zrządzenie nieba; może Bóg da, że te wszystkie widziadła, jeszcze weselem się zakończą.«

Hrabia Izalguir, podziękowawszy baronowéj za dany mu dowód przychylności, odszedł na spoczynek; nie mogąc

jednakże ani na chwilę przez całą noc oka zmróżyć, czekał niecierpliwie poranku, aby się mógł czém rozerwać.

Róża wstawała zazwyczaj bardzo wcześnie; hrabia Izalguir wiedział o tém, i chociażto ubliżeniem przyzwoitości było — cóż miłość o światową dba przyzwoitość? — nie mógł stłumić dłużéj swych uczuć, zapukał do jéj pokoiku i wstąpił.

Róża wyszła uprzejmie naprzeciw niego i podała mu rękę. »Przychodzisz hrabio pożegnać się ze mną, nieprawdaż?« zapytała smutnym głosem.

»Pożegnać?« ozwał się hrabia zmieszany. »Pożegnać panią? Jakto! Więc chcesz mię oddalić od siebie? Byćże to może?!«

»Sądziłam iż moja ciotka wszystko panu opowiedziała;« rzekła Róża półgłosem.

»Tak jest; ciotka pani wspomniała mi w istocie o niektórych szczegółach, które mię boleścią i żalem przejęły, lecz oraz tą błogą nadzieją natchnęły, iż wszystko szczęśliwy obrót weźmie, skoro...«

Tu spojrzał na nią wzrokiem, w którym całą jego miłość wyczytać mogła..

»Więc hrabio — jeszcześ nie zmienił zdania swego?« zapytała spłoniona.

»Ja miałbym zdanie moje zmienić!« zawołał młodzieniec żywo, chwyciwszy ją za rękę. »O Różo! Jakże mię oceniasz! O nie, na Boga! Nie zmieniłem moich stałych zamysłów i moich gorących życzeń, i nigdy ich nie zmienię! Twoja ręka jest mi najwyższém i najświetszém dobrem na świecie, a jak żadne skarby zastąpić mi jéj nie mogą, tak też żaden szatan nie zdoła wzruszyć miłości mojéj!«

»Izalguirze,« — rzekła Róża z westchnieniem — »poślubiłbyś sobie trupa; śmierć towarzyszy każdemu mojemu krokowi. Och, to okropne zjawisko!...«

»Różo, moja najdroższa!« zawołał hrabia, przyciskając ją zlekka do siebie. »Nie wierz temu mamidłu; moje objęcia obronią cię przeciw wszelkiéj napaści i duchów i ludzi! Przysięgam ci na przedwiecznego Boga: to jest tylko przewidzenie.»

Róża skinęła żałośnie głową, a potém rzekła: »Ach, nie; niestety, jest to prawda, gorzka prawda; nie ja sama, więcéj ludzi to zjawisko widziało.«

»Bo oszukiwali, lub sami oszukanymi byli;« odpowiedział Izalguir, lecz gdy to mówił, w téjże saméj chwili, tuż za plecyma Róży, ujrzał drugą, zupełnie podobną do niéj postać. Wzrost, włosy, ubior, słowem wszystko — wszystko było tak do siebie podobne, iż prawie nie można było rozeznać widma od istotnéj postaci. Izalguir zadrżał i pobladł wprawdzie na ten widok, lecz utkwił mocno wzrok w zjawisko, które martwe, a przecież niby żywe, nieruchome, a przecież każdym rysem twarzy przemawiające, spokojnie przed nim stało, rzucając nań płomienne wejrzenia, nito w gniewie za jego powątpiewanie.

Róża postrzegła co się dzieje, i powtórzyła z gorzkiém zapytaniem — »Cóż hrabio? Czy i teraz oni oszukują lub są oszukanymi?«

»Tak jest, pani! W tém zachodzi oszukaństwo, nie ma wątpliwości. Nasze z natury słabe zmysły otrzymują wrażenia, którym się oprzéć nie możem. Lecz ja nawet w obliczu tego zjawiska, nie daję mu wiary; wyobraźnia moja ulega zwodniczéj złudzie, albo sama się zwodzi; chcę miéć przekonanie, i wkrótce je miéć będę.«

Widmo wlepiało wciąż weń oczy; Izalguir postąpił śmiało ku niemu, ale czém więcéj się zbliżał, tém bardziéj bladły i nikněły kształty postaci, aż wkońcu tylko nagie ściany pokoju miał przed sobą. W téj chwili wskrzyknęła Róża gwałtownie, Izalguir się obrócił i ujrzał tożsamo straszne widziadło naprzeciw swojéj nieszczęśliwéj ofierze, która z przerażeniem w nie się wpatrzyła.

Jeszcze chwila nie minęła — a widma już nie było; lecz Róża leżała zemdlona na ziemi.

Izalguir przywołał śpiesznie służbę ku pomocy; wkrótce ją też odtrzéźwiono, lecz wrażenie jakie to ponowione zjawisko na niéj sprawiło, nie minęło tak prędko i było dla całego towarzystwa nader bolesne. Mimo to jednak odwidzał hrabia Izalguir ciągle dóm baronowéj de Niort, i przysięgał cierpiącéj dziewczy-

nie, iż nigdy innéj, prócz niéj kochać nie będzie.

Znany nam kamerdyner, pan Vincent, nie mógł się dość wydziwić, iż jego pan do tego stopnia swoję zapamiętałość posuwa, i z półupiorem zaślubić się zamyśla, lecz nie mogąc rzeczy odmienić, starał się ile możności zdaleka od panny de St. Etienne przechodzić, i omijał ją zawsze z osobliwszym wyrazem czci i obawy.

Tymczasem upłynęła pora kąpielowa, a pani de Niort i jéj siostrzenica odjechały w towarzystwie hrabiego do dóbr ojca Róży w poblizkości Tuluzy.

Stary, przeszło siedmdziesięcioletni baron de St. Etienne powitał kuzynkę i córkę z rodzicielskiém uczuciem, ich gościa zaś ze szczérą ujmującą dobrocią. Pani de Niort oświadczyła mu zamysły hrabiego, a gdy on sam z prośbą o rękę Róży przed nim wystąpił, staruszek uczynił go jeszcze raz na nieszczęsną słabość Róży uważnym, a potém zapewnił go o swojéj ojcowskiéj miłości.

Tak został hrabia Izalguir uznany narzeczonym panny de St. Etienne, która przy jego pieszczotach niekiedy nowém życiem zakwitać się zdawała. Lecz byłoto tylko pozorne polepszenie zdrowia, gdyż istotne źródło jéj życia z każdym dniem coraz bardziéj wątlało, a chociaż czasami od namiętnego pocałunku kochanka, blade jéj lice rumieńszą barwą płonęło, wnętrzna siła młodości więdła coraz widoczniéj, a każda wzmianka hrabiego o blizkiém ich połączeniu, wywoływała w niéj tylko westchnienie i bolesny uśmiéch niedowierzania.

Pewnego dnia, o dziesięć lub dwanaście dni od czasu zjechania się ich w zamku, po długiéj wieczornéj pogadance o melancholii Róży, udał się hrabia Izalguir dopiéro około północy na spoczynek. Nie mogąc jednak przez długi czas zasnąć, chciał wreszcie wstać już z łóżka, gdy w tejże chwili uczuł nagle dotknięcie zimnéj jak marmur dłoni na swojéj ręce. W tejże chwili zdało mu się widzieć, jak się duży jasny światłokrąg wokoło jego łoża rozwinął, a w środku tego światła stała tażsama, podobna do Róży postać, która mu się dawniéj w Rennes pokazała. Izalguir nie tracąc odwagi, chciał się do niéj przybliżyć, lecz ona położyła palec na ustach, i skinęła ręką, aby szedł za nią. Hrabia chwycił na każdy wypadek szpadę, i udał się za duchem.

W kaplicy zamkowéj same od siebie otworzyły się drzwi, o których zawsze powiadano, iż są zamurowane. Przez nie wszedł Izalguir za postacią do środka małego zamkowego kościółka. Tam stanęło widmo na jednéj z płyt głazowych, i spojrzawszy nań przerażającym wzrokiem, znikło — wszakże nie od razu, lecz zwolna, jakby w ziemię wsiąkając.

Izalguir był tym widokiem gwałtownie przerażony, ale miał jeszcze tyle przytomności, iż końcem szpady na gładkiéj płycie znak krzyża nakréślił. Poczém wrócił spiesznie do siebie i rzucił się w najżywszym niepokoju na łoże. Jak łatwo pojąć, nie mógł natychmiast usnąć, lecz przypominał sobie z zgrozą doznaną scenę, i zaciekał się nadaremnie w domysłach, coby to zjawisko oznaczać miało — gdy wtém mocne usłyszał westchnienie, a krew mu ścięła się w żyłach.

Wkrótce jednak nabrał odwagi i zapytał mocnym głosem: kto westchnął, i czy jego pomoc na co potrzebna? — Wszystko było cicho jak w grobie, i już zaczął mniemać, iż się przesłyszał, gdy wtém powtórne westchnienie się odezwało. Izalguir ponowił w téj saméj chwili poprzednie zapytanie, i bądźto wskutek przywidzenia, bądź téż istotnéj prawdy, zdało mu się, jakby głos Róży »Ofiary błagalnéj!« tajemnie do ucha mu poszepnął.

»Któż tę ofiarę ma przynieść?« zapytał mocno przerażony. Zamiast wszelkiéj odpowiedzi wionęło mu lekkie, chłodne tchnienie po licu; poczém nie wiedząc prawie co się z nim dzieje, po niejakiéj chwili zasnął.

Nazajutrz rano pośpieszył Izalguir do miejscowego księdza. Ten wysłuchał go z zadziwieniem i poszedł z nim do kaplicy, gdzie z łatwością płytę z narysowanym krzyżem odkryli. Kapłan zadumał się głęboko. Na tém bowiem samém miejscu ujrzała Róża przed pięcią laty po-

raz piérwszy swoję własną postać i uciekła przerażona z kościoła.

Hrabia uczynił wniosek, aby natychmiast w cichości kilku ludzi przywołać, podnieść płytę i kazać kopać. Ksiądz obawiał się, aby baron de St. Etienne za złe im tego nie wziął, i żądał pomówienia wprzódy z nim o tém.

Izalguir przystał na tę radę, lecz mając już odchodzić, namyślił się inaczéj, i rzekł nagle do księdza: »A gdyby téż sam baron... Nie! Zacznijmy lepiéj bez niego kopać.«

»Sądzisz hrabio,« — ozwał się kapłan — »iż pan baron wié o téj tajemnicy, i umyślnieby nie dozwolił? — Nie, panie hrabio. Za to mógłbym zaręczyć; pan baron jestto zacny, cnotliwy człowiek. Co zaś podań o jego przodkach dotyczć, te są istotnie zarówno straszne, jak trudne do uwierzenia. Jeden z tych przodków piastował wysoki urząd u dworu, i słynął tam, jako téż pod koniec życia i tu w swych dobrach, jako niesłychanie okrutny tyran. Nie było dnia, żeby jakiejś srogości nie popełnił, a po jego śmierci, o któréj także osobliwsze krążyły wieści, zaczęło złowrogie przeznaczenie nad całym rodem jego ciężyć.«

Wkońcu poszli przecież do starego barona i opowiedzieli mu całe zdarzenie, które nadzwyczajne wrażenie na nim sprawiło.

»Sądy boże są niezbadane!« zawołał wzruszony starzec; »a zemsta nieba w swoich wyrokach jest nieprzebłagana; niestety, owa okropna groźba: »Będę karał winowajcę aż w trzeciém i czwartém pokoleniu!« srogo na nas się ziszcza!«

Po tych słowach zwrócił wzrok ku hrabiemu, i patrząc weń długo z żywym udziałem, wziął go czule za rękę i rzekł: »Jesteś pan naszym przyjacielem, i znasz już część tajemnicy naszéj rodziny; powinienbym ci odkryć ją całą — lecz nie mam odwagi nato. Widzieliście obaj, ty hrabio teraz, kapłan już dawniéj, to okropne zjawisko; lecz dowody równie okropnéj zbrodni,« — dodał starzec coraz bardziéj drżącym głosem, z coraz jaskrawszym żarem wpółprzygasłego oka — »dowody straszliwéj zbrodni, muszą zostać w ukryciu. Mamże ja sam ją odkrywać! Mamże objawić światu zniewagę mego domu? Nie — tego nie uczynię! Zapomnij hrabio coś widział!«

»Zapomnieć?« powtórzył hrabia, nabywając niewątpliwéj pewności, iż stary baron de St. Etienne w ścisłym związku z powodem owego zjawiska zostaje. »Nie— zapomnieć tego nie zdołam! Bo i jakżeż zapomnieć, gdy to Różę, gdy to baronie twoję nieszczęśliwą córkę obchodzi.«

»Tu potrzeba ofiary;« ozwał się pan de St. Etienne.

»Tak jest, ofiary,« — odpowiedział hrabia — »ofiary błagalnéj...«

»A tą ofiarą może być tylko — śmierć Róży...« wyrzekł jéj ojciec głosem smutnouroczystym.

»Śmierć Róży!« zawołał Izalguir przerażony. »O nieba! Mój panie — i mówisz to tak spokojnie, jakby o najobojętniejszą rzecz chodziło? — Śmierć Róży! — Boże, Boże! Już ta myśl sama przejmuje mię zgrozą!«

Tu zmienił baron de St. Etienne swój początkowy wyraz poufnéj przyjaźni w oziębłą grzeczność i rzekł: »Jesteś hrabio łaskawym, iż tak żywy udział w losach mojéj rodziny bierzesz, i pragnę sposobności, aby mu się również odwdzięczyć; lecz co do mojéj córki, racz rozważyć, iż ja jéj ojcem, a ty hrabio obcym dla nas człowiekiem jesteś, i że, skoro ja, jakikolwiek zamiar powezmę, ty hrabio spokojnym o to być możesz.«

Co rzekłszy, odwrócił się od Izalguira, wziął kapłana za rękę i odszedł z nim razem do ościennego pokoju.

Hrabia uznał, iż tu przedwcześnie upiérać się nie wypada i wrócił także do siebie.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 40ty i zawiéra: 1) Uwagi nad artykułem »O uporządkowaniu pól pod płodozmian« w nrze 33m, 34m i 35m Tygodnika rolniczo-przemysłowego r. b. umieszczonym. Przez Jana Drozdowskiego. 2) O tuczeniu bydła różnym karmem. (Ciąg dalszy.) 3) O fabryce węgla zwierzęcego (*Spodium*) pode Lwowem. 4) Pług do wybiérania ziemniaków, wynaleziony przez pana Tergondego. 5) Wa-

pno na dachy słomiane, w celu ochronienia ich od ognia. 6) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją **Tomasza Kulczyckiego**, wyszedł nr. 21szy i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Podróż na wyspę Burbon. 2) Z melodyj hebrajskich Kornela Ujejskiego: Himn wychodźców z Egiptu. 3) Wyimek z listu Stanisława B. 4) Teatr polski. 5) Drugi koncert Parysa. 6) Uwiadomienie.

Tryjady druidzkie. Trzy rzeczy objawiają zasady i wrodzone skłonności człowieka: oczy, mowa i poruszenia. — Trzy rzeczy w ciemności jasno widzieć pozwalają: miłość, jenijusz, sumienie. — Trzy rzeczy mogą nas zaslepić, iż w jasnym dniu nic nie ujrzymy: rozkosz, nienawisc i lenistwo. — Trzy są czyny niebieskie na ziemi: ubogiego i słabego wspomódz, nieprzyjacielowi rękę podać, i za prawdę mężnie cierpieć.

Mowa wójta galicyjskiego w sprawie wstrzemięźliwości. Pod tym napisem zawiera »Gazeta teatralna« wiedeńska następujący artykuł: »W M...., jednej z małych wiosek w Galicyi, gdzie teraz towarzystwo wstrzemięźliwości ze wszystkich ambon gorliwie zapowiadane bywa, nie chciał nikt złożyć ślubu na wstrzemięźliwość, prócz jednego wójta. Reszta gromady nie tylko iż się statecznie wszelkim napomnieniom w téj mierze opiérała, lecz owszem za złe wójtowi to wzięła, iż on ulubionéj wódki się zarzekł. Nowy zwolennik wstrzemięźliwości nic odpowiedział ani słowa na czynione zarzuty, i poszedł spokojnie do domu, poczém cała sprawa ucichła. Jednakże po niejakim czasie zapowiada wójt z uroczystą miną całéj gromadzie, aby następnéj niedzieli, wszystko co żyje, przed karczmą się zgromadziło, dodając wyraźnie, iż nie wolno zgromadzać się jak zwykle w karczmie, ale przed karczmą. Stosownie do otrzymanego zlecenia, zeszła się w istocie cała gromada przed karczmą, oczekując w milczeniu, co to będzie. Nareszcie po długiem wytrzymaniu gromady, przybywa wójt, z kogutem pod pachą. »Jesteście wszyscy?« zapyta. — »Wszyscy;« odpowiadają jednogłośnie. — »Pójdźcież ze mną do karczmy, a ci, co się w środku nie zmieszczą, niech do okien przystąpią.« — Stało się jak rozkazał. Cała szynkownia napchała się tłumem ludu, a w oknach aż ciemno było od nacisku ciekawych. Gdy się cokolwiek uciszyło, wystąpił wójt na środek i rzekł: »Ślubowałem ja wprawdzie nie pić z wami nigdy więcej gorzałki, i dotrzymam sumiennie ślubu; lecz z tym kogutem pić się nie zarzekałem, i obaczycie sami, jak ten kogut do mnie pić będzie.« — Po tych słowach kazał sobie wójt dać kieliszek wódki i wlał ją kogutowi na siłę w gardło. Potem wypuścił koguta, który polatawszy trochę po karczmie, zaczął wkrótce ku powszechnemu pośmiewisku rozmaite śmieszne skoki i koziołki po pijanemu wywracać. Śród najweselszej wrzawy wystąpił wójt nanowo, i nakazawszy milczenie, ozwał się temi słowy: »Patrzcież, kochani bracia, podobnie jak wy z tego pijanego koguta się śmiejecie, tak też i z was się śmieją, gdy wam wódka głowę zawróci. Równie jak to bezrozumne stworzenie po ziemi się tu wala, tarzacie i wy się pijani po drodze, w rowie, pod płotem. I wy też bywacie tak pogardzani przez tych, co się wam trzeźwi, spokojni przypatrują, i tak też...« — tu wydał kogut ostatnie drgnienia i skonał — »i tak też wy kiedyś na śmieciu marnie zginiecie, zostawiając po śmierci wstyd, hańbę i wieczną zgubę dla siebie i dla swojej rodziny. Uznawszy tedy jakie skutki ztąd dla mnie i moich dzieci wynikną, jeżli na zawsze tego piekielnego napoju się nie wyrzeknę, ślubowałem wstrzymać się od jego używania, i dochowam święcie danego słowa. Ci zaś, którzy o prawdzie mojéj mowy są przekonani, niech idą prędko do księdza, i uczynią co ja uczyniłem.« — Zaledwie mowca śród powszechnych okrzyków radości mowę zakończył, udała się cała gromada natychmiast do proboszcza i złożyła ślub wstrzemięźliwości.«

Szulery w Paryżu. Kilka procesów kryminalnych, zakończonych skazaniem na ciężkie kary, zwróciło uwagę publiczną na niegodziwe postępki i równie śmiałe jak zręczne oszustwa tego obrzydłego motłochu wielkiego świata. Zpomiędzy wszystkich »niebezpiecznych klas« społeczeństwa, są ci »*Grecs*« jak ich powszechnie nazywają, najniebezpieczniejszymi, a to z powodu ich uprzejméj, ujmującéj, elegancklej powierzchowności, pod którą nikthy zapewne tego podstępu i oszukaństwa nie dopatrzył ani się nie spodziewał, coto rokrocznie daleko większe sumy uczciwym ludziom wydziéra, niż to publiczny rozbój rabusiów i morderców uczynić zdoła. Niższe stany zachowały się jeszcze od téj plugawéj zarazy, która tylko w modnym świecie grasuje, i nieraz aż zbyt szczęśliwie pod najwyszukańszym przepychem się ukrywa. — Wszyscy »*Grecs*« tworzą rodzaj tajemnego stowarzyszenia, wolno-mularstwa, którego zwolennicy po pewnych kabalistycznych znakach się poznają i wzajemnie sobie są ku pomocy. Zazwyczaj nie bawią nigdy długo na jednem miejscu, prócz w Paryżu, swoim centralnym punkcie, do którego głównie wszelki przemysł ich zdąża. W zimie bywają po balach składkowych i na prywatnych wieczorach. Skoro jaki Grek przystęp w którym domu uzyska, natychmiast stara on się jednego ze swoich spólników tamże wprowadzić, gdyż wspólnie dzieją się wszystkie operacyje nierównie łatwiéj i pewniéj, a w razie podejrzenia przegrywa nawet »Grek« małą sumę do swego towarzysza, i nie tracąc szeląga, przywraca sobie tém zaufanie. Główne jednak żniwo wschodzi dla tych »rozbójników salonowych« u wód. W każdém bowiem znaczniejszém miejscu kąpielowém znajdzie się kilku takich błędnych dziewiętnastego wieku rycerzy, którzy tam bardzo wystawnie żyją, i z panującéj zwykle u wód swobody, a mianowicie z powszechnéj namiętności kąpielowego towarzystwa do gry, zręcznie korzystać umią. Niektórzy z nich zyskują w ten sposób jednego lata nieraz 60 i więcej tysiecy franków. Wielu broni ich stopień w społeczeństwie od wszelkiego podejrzenia, a ci sami którzy w Wiesbaden lub Homburg obdarci przez nich zostali, przyjmują ich w Paryżu z największą uprzejmością, i wprowadzają ich do innych dystyngowanych domów. — Liczba »Greków« pomnożyła się niesłychanie od lat kilku, a ochotników swoich zaciągają oni nie zpomiędzy owych gminnych szulerów, coto najprzód sami oszukiwani byli, a potem innych oszukiwali, lecz z najzamożniejszéj młodzieży kraju, a nawet zpomiędzy dojrzalszych i znakomitych mężów. Zresztą nie myślmy sobie, jakoby prawdziwi »Grecy« krzywo obciętych, osobno nato znaczonych, lub jakimkolwiek sposobem sfałszowanych kart używali. Są to stare, dziecinne sztuczki, któremi mistrz prawdziwy, jako zbyt łatwo kompromitującemi środkami, w głębi duszy pogardza. Wprawny i biegły w swojem rzemiośle »Grek« przystaje na wszelką grę; whist, boston, tarok, bouillote — on na wszystko się zgadza, i gra wszelkiemi kartami, jakie mu dadzą. Dla dopięcia zaś swego celu ma on tysiąc

innych sposobów, których w razie potrzeby z osobliwszą zręcznością używać umie. I tak, nie poważy się żaden »Grek« pójść bez drugiego spólnika w towarzystwo. Podczas gdy tedy jeden z nich gra, drugi siada sobie obok przeciwnika swojego przyjaciela i patrzy mu bez wszelkiéj żenady lub afektacyi w karty, bądźto jaki zakład na nie czyniąc, bądź nie. Cztery głoski abecadła składają cały tajemny język »Greków«. *J* znaczy *Pique*, *L Trèfle*, *M Coeur*, *V Carreau*. Aby przyjaciela uwiadomić, jaki kolor wygrywać, rzuca mu »Grek« kilka obojętnych słówek, których początkowe głoski stosowny kolor oznaczają. Jeżli np. *Coeur* grać wypada, tedy należy tylko słowo *Monsieur* wymówić. Słowa »*Vous jouez*« znaczą wten sposób *Carreau* i *Pique* — i t. d. Nietrudno pojąć, jak niebezpiecznem podobne porozumienie się dwóch »Greków« dla reszty graczów być może; — lecz jestto dopiero jeden z tysiąca innych, przemyślniejszych fortelów, od których oby nieba każdego strzegły.

Okropne kalectwo. Kuryjer Warszawski z dnia 29go września r. b. pisze: »»Wątpimy aby zdarzył się kiedy przykład tak okropnego i smutnego kalectwa, jakiem dotknięty jest jeden z obywateli Warszawy, pan Karol S...., dziś 61letni starzec. Jedyny może przykład tak okropnéj doli zachowała nam historyja święta w dolegliwościach cnotliwego Joba. Chory tutejszy w miesiącu kwietniu r. 1818go bardzo zapadł na zdrowiu. Od owego czasu przez lat 28 leży w niemocy, bezwładności, w bezustannych cierpieniach i dolegliwościach. Ciało jego całe paraliżem i bolami reumatycznemi dotknięte, formę ludzką zupełnie straciło; ból dotknął wszystkich stawów, pokręcił wszystkie członki, zdrzewnił, że tak powiémy, całe ciało. Nogi pokurczone i zeschnięte zwinęły się ku piersiom; kolana zbliżyły się ku sobie z taką siłą, że je żadna ręka ludzka rozłączyć nie jest zdolną. Głowa sparaliżowana w karku, zwisła na lewe ramię; ręce bezwładne, wiszą na sznurach, a całe ciało spoczywa na lewym boku, jedną tylko raną będącym. Okropne dolegliwości nie pozwalają go obrócić na bok prawy, a powiększenie się onych od lat 7miu, jest przyczyną, że od owego czasu to łożc boleści przesłane być nie mogło. Nieszczęśliwy ten kaléka, pozbawiony od lat 4ch zmysłu wzroku, głuchy na jedno ucho, ma szczęki i zęby tak zamknięte, że ani pokarm, ani napój, między témi przecisnąć się nie da. Dla utrzymania tego życia, trzeba było wybić jeden ząb trzonowy w prawéj stronie szczęki. Przez powstały ztąd otwór ręka obca podaje mu i wlewa pokarm najwięcej płynny. Tą ręką obcą, tą ręką która od lat 28miu, pielęgnuje nieszczęśliwego kalekę, jest ręka kobiety. Takiego poświęcenia, takiego przywiązania inna płeć nie jest zdolną.«

Skazany na Sybir — kozioł. Gdyby następujące tu wiadomości nie były z gruntownie uczonéj książki wyjęte, możnaby je bezpiecznie do wierutnych bredni policzyć. Lecz szacowne dzieło: »*Ad. Lyseck Relatio Moscovitica*, *Salisb.* 1676« 12. — zaręcza wiarogodność przytoczonych tu zdarzeń. Car Alexy Michajłowicz z domu Romanów, który od 1645go do 1676go r. w Rossyi panował, miał w piérwszem małżeństwie żonę Maryję Ilijewnę. Aby sobie zrobić wyobrażenie o jéj charakterze, dość jest usłyszeć, jakie wyroki karne ta dostojna Moskiewka na bezrozumne zwierzęta, a nawet na martwe sprzęty wydawać raczyła. Pewnego razu młody kozioł, którego w domu jednego z bojarów dworskich dla dzieci trzymano, strącił najstarszego syna pana swego ze schodów. Złożona pod przewodnictwem carowéj rada skazała występnego kozła — na Sybir. Ponieważ jednak niegdyś to koźlątko w pałacu bardzo lubione było, przeto złagodzono mu poniekąd karę wygnania, wyznaczając mu kopiejkę codziennie, na utrzymanie. — Tażsama Maryja skaleczyła się raz swoim ulubionym nożykiem. Natychmiast oskarżyła nożyk o zbrodnię zabójstwa. Skazawszy go zaś jak zwykle na wygnanie, zamieniła tę karę na wieczne więzienie, to jest na zamknięcie go nazawsze w carskim skarbcu. — Innego razu mocne dźwięki jakiegoś kościelnego dzwonu — a wiadomo jest, jaką ważną rolę dzwony w greckiém nabożeństwie grają — zbudziły carową Maryję Ilijewnę ze snu. Wielkiż tedy gniew spadł na dzwon, a wydany nań wyrok opiewał: aby dzwonnicę, w któréj ten dzwon wisiał, zburzono, dzwon zaś najprzód knutami zbitym a potém na Sybir wygnanym i tamże wiecznéj wzgardzie i niepamięci poświęconym został. I byłoby się niezawodnie tak stało, gdyby nie rychła śmierć carowéj, po któréj Alexy Michajłowicz z Nataliją Kiryłówną Naryszkin się ożenił. Ta wstawiła się za skazanym dzwonem i wyjednała mu łaskę. Zamiast zapadłego więc nań wyroku postanowiono, iż odtąd nie na spiżowym trzonie, i nie w tak wysokiéj jak dawniéj dzwonnicy, lecz na żelaznem tylko uchu, i w daleko niższéj ma nadal wisieć dzwonnicy, będąc na wieczne skazany tam milczenie. —

Zielone róże. Jak wiadomo, wyznaczają namiętni miłośnicy kwiatów nagrody na utworzenie nowych osobliwszych rodzajów kwietnych, co nieraz ku wielkiéj radości blumistów nadspodziw się powiedzie. I tak dokładano od lat kilku wszelkich starań i kosztów, aby zielonych róż się dochować, a teraz donosi jeden z paryzkich dzienników, iż niejaki John Bryce w północnéj Ameryce otrzymał na szczepie tak zwanéj *rosa indica* przepyszne, pełne zielone róże. Na dowód rzetelności tego odkrycia przytaczają, iż wspomniony tu p. Bryce nie jest z powołania ogrodnikiem, i że utworzony tak nowy rodzaj kwietny daje się w istocie przez odłożenie latorośli do szczepienia (zrazow) łatwo rozmnożyć. — Pozostaje wszakże jeszcze główne zadanie do rozwiązania — to jest: wydanie niebieskiéj georginii. Angielscy miłośnicy georginijów ofiarują 5000 funt. szterl. — blisko dwa kroć stotysięcy zł. pol. — za kwiat tego rodzaju.

W kwitnącém handlowém mieście Cincinati, w północnéj Ameryce, jest pewna klasa kupców, nazwana *Pork-aristocracy*, arystokracyją prosięcą, ponieważ wszyscy ci kupcy majątek swój w handlu nierogatego bydła zebrali. Ztąd też są te prosiaki najbardziéj poważanym rodzajem zwierząt w Cincinati, przechadzają się wolno i swobodno po pięknych ulicach tegoż miasta, nie należą do nikogo, i mogą być przez każdego obywatela tamtejszego zajęte, utuczone i — zabite. W razie zbytniego ich rozmnożenia się, wdaje się magistrat, w tę sprawę, i wystawia kilka tysięcy sztuk na sprzedaż. Najulubieńszą rozrywką uliczników w Cincinati jest przejażdżka wierzchem na tych zwierzętach, a pewien podróżny zapewnia, iż mu pokazywano starą, poważną lochę, która szczególnie pod wierzch chodzić nie lubiła, i natychmiast na ziemię się kładła, skoro tylko jakiegochłopaka ku sobie nadchodzącego ujrzała.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.